

Niebieskie kartki

Odkrycia dwudziestoletnich

Kiedy po dłuższej nieobecności w ostatni poniedziałek odmykałem mieszkanie, jeszcze w sieni usłyszałem, jak telefon szaleje. Gdy zdjąłem słuchawkę, po drugiej stronie ktoś przedstawił się jako mecenas Wahl. Od dłuższego czasu dobijał się do mnie, a chodziło mu o rzecz względnie sympatyczną, o udział w dyskusji nad przedstawieniem „Zbrodni i Kary” w ramach stałych dyskusji nad spektaklami teatralnymi w Kole Miłośników Teatru przy Politechnice Warszawskiej. W dyskusji miał wziąć udział zespół Teatru czy część zespołu, czy ktoś jeden z zespołu, nie dośłyszałem jak zwykle w telefonie. Mecenas Wahl naprędce wprowadził mnie w ożywioną działalność Koła twierdząc, iż prócz mnie „byli już wszyscy”. Ponieważ obowiązek obywatelski nakazywał nie uchylać się od udziału, odpowiedziałem, że nie widzę powodu, aby „być tam, gdzie wszyscy”. Znarowiony do wyprowadzenia skutków od przyczyn, widziałem nieznanego mi osobicie mecenas Wahla nachylnego nad jednym z ostatnich numerów „Świata”, gdzie wypowiadałem się na temat wystawienia „Zbrodni i Kary”. Przeczytał, porównał moje uwagi z panegirykami w innych pismach i doszedł do wniosku, iż dobrze byłoby doprowadzić do konfrontacji; stąd jego bezskuteczne telefony od kilku dni. Odpowiedziałem mu, iż wszystko, co miałem do powiedzenia, już powiedziałem, że nie jestem mówcą, że pod tym względem nie mam żadnych złudzeń w przeciwieństwie do tych, którzy nie dość, iż nie są mówcami, są również zupełnie głusi na to, co mówią sami, i na to, co wygadują inni, przy odrobinie lepszej słyszalności dawno umarliby ze wstydu. Na to wszystko pan mecenas Wahl przystąpił do namiętnego i gęstego przemówienia, z którego nie wszystko zrozumiałem, lecz dostatecznie wiele, by zacząć się wahać. W ten oto sposób zwykle rozpoczyna się właśnie zguba człowieka.

Oznaczono go jako jeden z pierwszych, a przynajmniej jako jeden z pierwszych spośród starszych, znalazłem się na ulicy Kopinińskiej w siedzibie Koła Miłośników Teatru, gdzie raz w miesiącu odbywają się młodzieżowe sądy nad sztukami teatralnymi, w sali mało się do tego nadającej, warto się jednakowoż potłoczyć, aby usłyszeć „nowe słowo”, które może i nie jest nowe, nowe słowo nie rodzi się na kamieniu! przecież bywa wypowiadane przez nowe usta, przez młode usta, a wiadomo, czym są młode usta. Jest to w ogóle dom, który może się przyśnić, zamieszkuje go same dziewczęta, zaś władze, jak naturalnie zdążono mnie poinformować, z jednym tym domem mają więcej kłopotu aniżeli z wszystkimi domami razem. Ulokowawszy się pod filarem przyglądałem się, jak panienki siadały obok panienek, a obok tych panienek jeszcze inne panienki, zaś chłopców przybywało mało i już do końca było ich mało. Nie wyglądało mi to na najidealniejsze audytorium do roztrząsania kwestii, które doprowadziły Raskolnikowa do morderstwa, a potem z kolei skłoniły go do ekspiacji, akurat Raskolnikow wydaje mi się mało stosownym bohaterem dla panienek: młody człowiek z rękami unurzonymi we krwi, dumny, mocujący się z sumieniem, nie, w żadnym wypadku nie jest to ktoś dla audytorium o przewadze kobiet i to młodych kobiet. Wiele można oczywiście narzucić sali, lepiej aby jednak również interes sali był uwzględniony. Zresztą w końcu padło właściwe zdanie, które mogło skierować dyskusję we właściwe łozysko, słowo uwzględniające zarówno miejsce jak i audytorium, ale o tym później. Uległszy mecenasowi Wahlowi prosiłem, aby mnie pozostawiono w charakterze widza, aby nie kazano mi przemawiać, aby nie kazano mi siadać za stołem przydialnym, przepolawiającym morze na dwie części. Przed samym rozpoczęciem wyciągnięto mnie naturalnie z ukrycia i umieszczono za stołem przydialnym, który tak często budzi we mnie śmiech, po małym „tak” przyszło więc większe „tak”, idiota, zawsze dziwię się, iż drobiazg może zmienić sytuację, a czymże jest wspaniała istota ludzka, jeśli nie „drobiazgiem”?

Przewodniczył autor książki o Dostojewskim, ale gwóźdź wieczoru był Adam Hanuszkiewicz, którego dalej nazywać będziemy A. H., dyrektor Teatru Powszechnego, współautor adaptacji, reżyser i wykonawca roli Raskolnikowa w „Zbrodni i Karze”. Ten wieloraki charakter upoważniał go do częstego zabierania głosu, czego korzystał, przemawiał jednak jeszcze częściej niż powinien był, postanowił bowiem przekazać panienkom wszystko, co przemyślał w ciągu swego życia. Zdanie klóciło się ze zdaniem, ałe prozę spróbować sprostać podobnym ciężarom. Przecież słuchano go uważnie i to zarówno na sali, jak i za stołem przydialnym, wszyscy, z wyjątkiem jednej parszywej owcy, która zawsze musi się znaleźć.

Wieczór bardzo szybko zaczynał mi się rozwijać zgodnie z harmonogramem. Z góry wiedziałem, iż w jakimś stopniu będzie on musiał być polemiką z moim niedawnym wystąpieniem w „Świecie”, z niektórymi moimi uwagami krytycznymi, dosyć odosobnionymi, gdy większość sprawozdań utrzymana była w tonie hymnu pochwalnego. Spodziewałem się, iż chwaleni czy nadchwaleni, na tym polega piekło pewnych mechanizmów, za nic mają sobie wszelkie pochwały, natomiast niełatwo będzie im strawić odwrotność pochwał. Aby osiągnąć doskonałość, którą w podobnych sprawach może być tylko obojętność, potrzeba lat i nic, nic innego tychże lat nie może zastąpić, zaś A. H. brak tu jeszcze wieku. Poza tym nie jestem pewien, czy ową doskonałość, dostępną niektórym pisarzom i malarzom z latami absolutnie nieuczulym na to, co o nich wypisują, po latach, bowiem muszą się zacząć pojawiać duplikaty, duplikaty w dobrym i w złym, w ocenach pozytywnych i negatywnych, otóż nie wiem, czy aktor w ogóle może dostąpić owej doskonałości, jest on bowiem zanadto zależny od doraźnej reakcji publiczności, wszystko mówi mu się w oczy, od razu wszystko ma przed sobą — aplauz i negację, wrzask i milczenie. Otóż znając słabą stronę chwalonych i nadchwalonych przez różnych z różnych powodów, czy to z powodu słabej głowy, czy też słabej pozycji społecznej lub towarzyskiej, z czym się często wiąże pewna grzaskość estetyki, z góry spodziewałem się ukąszeń, choć nie spodziewałem się ich w takiej ilości i w takiej, że tak powiem, nagłości. Uraczono mnie nimi z miejsca. Kto wie, może nie wybrałbym się do panienek, gdyż naprawdę nie uważam, że muszę bywać tam, gdzie wszyscy, ale wiedziałem, że znajdę się tam w charakterze czarnej owcy i nie chciałem wyrzec się tej przyjemności; czarna owca to wielka figura poetycka, nie byłaby zaś wielką figurą poetycką, gdyby nie była także wielką figurą społeczną, moralną. Bardzo szybko wykryłem, iż każde zdanie zawierało ukrytą polemikę z tym, co ośmieliłem się napisać, polemikę ukrytą, dostępną tylko uszom polemizującego i polemizowanemu, zaś panienki nie miały o niczym pojęcia, zafascynowane słuchały swojego aktora i było im wszystko jedno, co mówił, byleby mówił. I nie tylko panienki, również część stołu przydialnego nie chwytala „drugiego nurtu” rzeczy; potem dowiedziałem się na przykład, iż mecenas Wahl nigdy ani słowa nie przeczytał z tego, co napisałem o Dostojewskim, nawet nieładnie jak na mecenas Wahla, walca toczyła się więc pod ziemią, co jednak nie odbierało ognia A. H., przeciwnie, i co, niestety, nie osłabiało mojego plugawego uśmiechu. Albowiem uśmiechałem się podłym, plugawym uśmiechem, wiedziałem, że to podły plugawy uśmiech człowieka, który powiedział swoje nie, który wytłumaczył dostatecznie jas-

no, dlaczego był na nie, zaś teraz do tego nie, nie chciał dorzucić ani jednego słowa. I już nawet nie to nie było ważne, ważne było to, iż zachowywałem się tak, jak gdyby sama rzecz nie była już ważna, jak gdyby teraz należało się z niej tylko śmiać, jak gdyby jedyną odpowiedzią na wszystkie te namiętne argumenty mógł być tylko podły, plugawy uśmiech. Podłe w mojej sytuacji było więc to, iż milczeniem uświęciłem moją postawę. Wiedząc, iż każde moje słowo będzie natychmiast zalane potopem słów, który mógłby stworzyć pozory mojej kłębki, wybrałem milczenie oraz ten podły plugawy uśmiech, który dawał mi zwycięstwo absolutne, choć wiedział o nim dwóch lub trzech ludzi, ale ci wystarczali. Trzech, gdyż za stołem przydialnym siedział również przyprowadzony przez A. H. człowiek najszej własnej nowej fali, każdy ma taką nową falę, na jaką zasługuje, znany pogromca autora „Szkiełców o Szekspirze”, recenzent teatralny, Witold Filler. Długo nie zwlekając wygłosił to, co miał do wygłoszenia, a w tym, co wygłosił, punkt po punkcie nazwał białym to, co ja nazwałem czarnym. Wyrzucił to z siebie szybko, zachował się jak przyjezdny z prowincji, który ledwo ledwo zdążył odstawić walizkę w hotelu, już biegnie po dziewczynkę. Zdążył także powiedzieć, iż zrezygnował z dwóch biletów na Gielguda, aby móc się tutaj zjawić. O, po tym wieczorze jeszcze bardziej polubiłem A. H., gdyż jak się zapewne domyślacie, już przedtem bardzo go lubiłem, lubię go nie od dzisiaj dla wielu powodów. Przede wszystkim wydaje mi się typowy, należy do tych, o których poeta powiada, iż „włargnęli do srodmieścia”. Zawsze wlamywano się do srodmieścia, ja sam jestem jednym z nich, odświeżanie krwi odbywa się w sztuce bez ustanku, choć w sztuce nie posiada to owych gigantycznych rozmiarów jak w hierarchii społecznej, w sztuce nic nie nabiera rozmiarów gigantycznych, ilość bywa tu w ogóle mała. Ci, co się „wdzierają”, zawsze są dzicy, przeciw tradycji, zawsze lgną ku nowoczesności, zawsze odkrywają przeważnie to, co dawno odkryte, pomimo to są cenni, po drodze przecież odświeżają środki wyrazu, krew, personaż. A. H. jest jednym z nich i jak przystało na jednego z nich, kocha nowoczesność, choć nikt nie wie, co to takiego, w gruncie rzeczy chodzi o to, aby było „inne”. Gdzie są dawniejsze śniegi? Gdzie podziały się wczorajsze nowoczesności? A. H. szuka więc dla szukania, i za to także bardzo go lubię, choć często niewiele rozumiem, dlaczego tak a nie inaczej widzi rzeczy. A. H., zdaje mi się, mądrze zakłada, iż nie musi zrozumieć, że wśród milionów widzów, przez długie lata A. H. był głównym reżyserem największego naszego teatru, Teatru Telewizji, znajduje się przecież ktoś, kto go rozumie. Ponieważ A. H. szuka z reguły, przytrafia mu się to, co tylko szukającym się trafia: czasami wystąpi z czymś takim, że zatyka, za taki skandal na przykład uważam wystawienie „Wesela” w Teatrze Powszechnym. Gdybyśmy byli narodem naprawdę przywiązany do tradycji, byłibyśmy przede wszystkim mniej czuli na wszystkie nowinki, które w nasz grunt wchodzi jak w masło, a za to „Wesela” porządnie natarto by uszu A. H. Ale i wówczas nie padł ani jeden głos przeciw, maszynka do chwaleń poszła w ruch, zresztą trudno uderzyć w skandal, gdy ten zaraz graniczy z następnym. Pamiętam, iż po „Weselu” wyszedłem z teatru wstrząśnięty, nie napisałem o tym, bo akurat miałem kolejną przerwę w moich Niebieskich Kartkach, niezauważoną zresztą przez nikogo. A. H. nie zawsze więc znajduje, ale jest żywy, aktywny, ma piekielną energię, nale-

ży do tych, którzy po latach fałszywych odkryć, przecież do czegoś dochodzą, to mu przepowiadają. Żal mi jedynie, iż A. H., który właśnie wydaje mi się posłuszny, chłonny, z siebie wydiera wszystko, podług mnie za wcześnie! I niepotrzebnie! Niepotrzebnie! Ale pomimo to lubię go, lubię go, nawet za to, iż otacza się pochlebami, iż szuka fałszywych sojuszników, fałszywej klaki, nie warto, nie warto! Konta w szwajcarskim banku i tak sobie nikt z polskich dochodów nie otworzy, dwa pokoje z kuchnią A. H. już ma i Wartburga już nawet ma, nie warto więc sprawdzać bojówki, warto natomiast szukać ludzi, którzy prędzej mu dopomogą do prawdziwych narodzin. Piszę to wszystko dlatego, że lubię A. H., ma on dla mnie nie tylko wdzięk, ale i wzruszającą naiwność, jest w ogóle wzruszający. I cały ten wieczór u panienek w gruncie rzeczy przemawiał za nim. Po wieczorze oddałem mu nawet kwiatek, który dostałem. I naprawdę nie był to tylko pusty gest.

A jednak każde wyjście, każde starcie z ludźmi przynosi jakąś zdobycz. W nielicznych chwilach przerwy w duchowym życiu A. H., temu i owemu udało się przecież wcisnąć ze swoim słowem. I tak w pewnej chwili wstał mecenas Wahl i powiedział, jak on widzi „tego Raskolnikowa”. Przedtem ktoś inny zza stołu przydialnego w zasadzie chwalał przedstawienie podkreślał nieściśności kostiumowe i meblowe, wydawały mu się fałszywe w stosunku do epoki. Można i tak, można bronić stanowiska, iż dzieło wyrasta z epoki i powinno jej być maksymalnie wierne, można patrzeć na dzieło sztuki jak na muzeum i widzieć je w muzeum, w muzeum wieków. W zasadzie jednak sztuka pokazana dzisiaj włącza się do dyskusji na temat problemów, które nas zjadają. Wierność epoce? Cóż może znaczyć wierność epoce miononej? Wierność sprzączce u trzewika? Żywe przedstawienie nie może nie być włączane w dyskusję dnia. Z tego punktu widzenia można Raskolnikowa pokazać albo od strony jego przeżyć wewnętrznych, od strony duszy, którą poddaje próbie przez zbrodnię, czy naprawdę odróżnia ona dobro od zła? może to fikcja? może żyjemy fikcją w podstawowych sprawach naszego życia? może ulegamy fikcji, nieprawdzie, którą wzmówiliśmy sobie? Nie wydaje mi się. Aby próba duszy mogła kiedykolwiek być głębiej sięgnięta aniżeli w Raskolnikowie. Akcent tej próby może więc być skierowany do wnętrza, wówczas należałoby uczynić z Raskolnikowa przedstawienie określonego rodzaju, nie wiem jakie, ale to nie należy do mnie, występuję tu z propozycjami ogólnymi, ramowymi, ich strona techniczna nie należy już do mnie. Albo można też tę próbę duszy pokazać w starciach z ludźmi, którzy są jeszcze większą próbą aniżeli nasze wnętrza, ludzie są właściwie duszą uzewnętrzną. Można więc problem Raskolnikowa pokazać na „innych”, na ludziach. Ale kierunek uderzenia musi być czysty, niezamazany, zdecydowany, jasny, nie ma niczego gorszego w tej chwili, jak zamazany rodzaj, pod tym względem staliśmy się naprawdę intelektualni, żądni decyzji, żądamy, aby ten, który mówi do nas, któremu oddajemy nasz czas, uwagę, wzruszenia, pieniądze, wiedział, co nam chce powiedzieć, mętni powinni siedzieć w domu w tej chwili. Otóż Raskolnikow w Powszechnym nie ma jasnego uderzenia. Opuszczając Teatr nie wiemy, po co nas wezwano. A. H. bronił się, że on nie chciał dać Raskolnikowa, że nie chciał dać Dostojewskiego, że nie może on dać Dostojewskiego, że może dać tylko siebie. Tak, ale jakiego siebie?

W pewnej chwili wstał więc mecenas Wahl i wygłosił... truizm. Powiedział, że Raskolnikow wymyślił sobie swoją teorię zbrodni, gdyż nie miał szacunku dla życia ludzkiego, dla istoty ludzkiej i pod tym względem był podobny... I tutaj padły nazwiska tyranów, którzy w niedalekiej przeszłości spalili kilkadziesiąt milionów osób i zrównali z ziemią wiele miast oraz nazwiska żywych, którzy nadal głoszą, iż istota ludzka niewielką ma wartość, że ludzkość w razie wojny szybko się odrodzi, że łuki wkrótce zostaną wypelnione, za to świat, który powstanie z popiołów, będzie no-